Życzę młodzieży, aby się dobrze uczyła i rzetelnie pracowała, aby chowała się zdrowo i rozumnie korzystała z lat młodości, aby wyrosła na twórczych, dzielnych obywateli i patriotów swej ojczyzny.

Z toastu noworocznego tow. WŁADYSŁAWA GOMUŁKI

Foto K. Czapiński

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 3 (1681) Warszawa, wtorek, 9 stycznia 1968 r. Cena 50 gr.

Korespondencja z Czechosłowacji

SPORTOWE PRZYGODY DZIADKA RAMESZA

... Zaczęli się ze mnie śmiać. Na głos. Otoczyli mnie i chichoczą, a kapral najgłośniej.

— O, rany, dziadku!

— Niech dziadek nie zalewa!

— Piwa się dziadek napił za dużo, czy co?...

A ja piwa, słowo daję, prawie nie piję, ani wina nie piję, nie mówiąc już o czymś mocniejszym, ani nie palę. Papierosów, oczywiście, ale w pokoju też nie palę i jak pan redaktor chce, to ja włączę grzejnik elektryczny...

— Nie trzeba, nie trzeba...

— A mnie się zdaje, że trzeba... Redaktor najwyraźniej zmarzł. Zimno...

— E, tam.

— To ja jeszcze grzejnika nie włączę. Jak skończę, to włączę... Na czym to ja skończyłem?...

— No, ten kapral coś za bardzo się śmiał...

— Właśnie, aż się zdenerwowałem. Bo ja do nich jak najserdeczniej. Patrzę, idą żołnierze na stadion. „Aha, trening — myślę sobie. — Trzeba skorzystać z okazji. No, i idę za nimi. Oni ulicą — ja chodnikiem. Doszliśmy do bramy stadionu.

Kapral daje komendy: Baczność, spocznij, rozejść się... Wtedy do nich zagaiłem.

— Na trening, co? — pytam.

— A, tak, tak... Dzisiaj będziemy biegać.

— Jaki dystans?

C. d. na str. 4 — 5

Operacja „Biały Kruk" trwa!

GENERAŁ DZIĘKUJE HARCERZOM

W REDAKCYJNEJ POCZCIE znajdujemy codziennie meldunki z Operacji „Biały Kruk". W jednym z nich harcerze z IV Drużyny przy Szkole nr 2 w Chełmży piszą:

Meldujemy, że Operacja „Biały Kruk" została przez naszą drużynę wykonana. Decyzją rady drużyny przyznaliśmy druhom z zastępów — „Kosmonauci", „Komandosi", „Zawisza", „Kosynierzy" — sprawność pod nazwą: Operacja „Biały Kruk".

W załączeniu przesyłamy odpis listu Dowódcy Pomorskiego Okręgu Wojskowego.

IV DRUŻYNA ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO im. Karola ŚWIERCZEWSKIEGO przy Szkole Podstawowej nr 2 w CHEŁMŻY

Serdecznie dziękujemy Wam, Drodzy Harcerze, za nadesłane nam egzemplarze gazety żołnierskiej „Obrońca Ojczyzny" oraz za ulotkę bojową. Dar Wasz stanowi cenny nabytek do naszych zbiorów rzeczowych, obrazujących tradycje bojowe i szkoleniowe jednostek Pomorskiego Okręgu Wojskowego.

Podjęta i realizowana przez Was operacja „Biały Kruk" jest doniosłą i niezwykle cenną inicjatywą społeczną. Życzę Wam dalszych sukcesów w poszukiwaniu „białych kruków" i wyrażam nadzieję, że w wypadku wyszukania dalszych okazów tego typu nie omieszkacie nadesłać ich na nasze ręce.

Równocześnie życzę Wam wielu sukcesów w nauce i życiu osobistym. Wyrastajcie na światłych i prawych obywateli naszej ukochanej Ojczyzny — Polski Ludowej.

Z żołnierskim pozdrowieniem

Dowódca
Pomorskiego Okręgu
Wojskowego
Gen dyw. JÓZEF KAMIŃSKI

EKRAN ŚWIATA MŁODYCH

Dzieci KAPITANA GRANTA

JEST to na naszych ekranach już druga z kolei adaptacja filmowa słynnej powieści Juliusza Verne'a.

„Dzieci Kapitana Granta" — film angielski, który obecnie wchodzi na polskie ekrany, został zrealizowany w wytwórni słynnego Walta Disney'a. Już sam ten fakt pozwala sądzić, że film będzie się podobał widzom od lat 7 do 100. Któż bowiem potrafiłby lepiej i piękniej pokazać cały urok przygód i awanturniczego życia podróżników, jak nie Walt Disney. Stworzył on więc rzeczywiście barwne widowisko, stosując rozmaite tricki filmowe i pokazując bez przerwy mnóstwo sytuacji „mrożących krew w żyłach" i takich, że „dech zapiera w piersiach" z wrażenia. Momenty np. porwania chłopca przez ogromnego ptaka i wyratowanie ofiary przez dzielnego Indianina Thalcave należą do najbardziej chyba dramatycznych. Podobnie jest z burzą na morzu, z groźną powodzią, z walkami wśród dzikich zwierząt i wśród plemion ludożerców.

Tak więc entuzjaści dreszczyków i emocji na pewno nie będą narzekać na ich brak.

A teraz dla tych, którzy nie znają jeszcze powieści Juliusza Verne'a, podaję krótką treść filmu:

Profesor Paganel, z dwojgiem zaprzyjaźnionych z nim dzieci, wdziera się podstępem na statek lorda Glenarvon, aby skłonić go do poszukiwań zaginionego kapitana Granta. Po wielu wysiłkach, zarówno profesora jak i córki kapitana Granta, statek wyrusza wreszcie na wyprawę. Poszukiwania obfitują w szereg niespodzianek i przygód. Burze, powodzie, ogień ogarniający drzewo, gdzie schowali się wędrowcy, i szereg innych dramatycznych zdarzeń, raz po raz nękają poszukiwaczy, ale zawsze wychodzą oni obronną ręką z wszelkich opresji. Uporali się nawet z groźnym marynarzem Ayrtonem, który chce zgładzić dzieci kapitana Granta, gdyż w przeszłości Ayrton naraził się kapitanowi, stał się jego wrogiem i nie chce doprowadzić do odnalezienia go.

Kapitan Grant został oczywiście odszukany przez swe dzielne dzieci i profesora Paganela. Przebywał cały czas z plemieniem ludożerców, ale żadna krzywda go nie spotkała, bo inaczej film nie mógłby się przecież skończyć happy-endem.

Rolę córki kapitana — Mary — gra aktualne bożyszcze angielskiej młodzieży, utalentowana gwiazdka Halley Mills. Zadebiutowała ona jako „cudowne dziecko" w r. 1956 rolą w filmie „Nieletni świadek". Później grała coraz częściej w filmach dziecięcych i młodzieżowych. Do najbardziej udanych należą dwa jej ostatnie filmowe wcielenia: „Pollyanna" (o filmie tym przeczytacie niebawem w „Świecie Młodych") i właśnie Mary Grant.

Ponieważ film „Dzieci Kapitana Granta" jest opracowany w polskiej wersji językowej, głosu Halley Mills użyczyła Ewa Złotowska, znana telewidzom ze Szklanej Niedzieli jako Ewa.

W komicznej i przezabawnej roli profesora Paganela gra z niezrównanym wdziękiem sławny francuski piosenkarz i aktor komediowy — Maurice Chevalier, który właśnie niedawno ukończył... 79 lat, i wcale nie zamierza zrezygnować z występów. W polskiej wersji mówi za niego aktor teatrów warszawskich — Andrzej Bogucki.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

KLUB NASTOLATKÓW

NAUKĘ ROZPOCZĘŁAM w tym roku z małym opóźnieniem — w połowie września. Było to konieczne ze względu na mój stan zdrowia.

Choruję się przeważnie kilka dni, kilka tygodni... Ja jednak chorowałam dwa lata. Miałam powiększone zatoki. Źle się czułam. Bywały dni, że byłam strasznie przygnębiona. Myślałam, że tak już będzie zawsze. Chodziłam smutna i zapłakana. Przyjmowałam różnego rodzaju inhalacje, ale doprawdy nie było widać poprawy. Wreszcie lekarze orzekli, że mam trzy miesiące spędzić w górach i wygrzewać się na słońcu. Byłam tak wyczerpana psychicznie, że przyjęłam tę wiadomość z miną obojętną. Dwa miesiące wakacji upłynęły bardzo szybko i bardzo zwyczajnie. Czułam jednak, że mój stan zdrowia się poprawia. Ale w dalszym ciągu czułam jakieś osamotnienie. Szczególnie były przykre ostatnie dni sierpnia, kiedy wszyscy odjechali i zostałam naprawdę sama.

UŚMIECH ŁAGODZI SMUTEK

Przyszedł wrzesień. I oto któregoś dnia miejscowość, gdzie przebywałam, odwiedziła wycieczka młodzieży francuskiej. Stałam w pobliżu i przysłuchiwałam się, jak zachwycają się przyrodą gór. Znałam zaledwie kilkanaście słówek francuskich, ale już mogłam się zorientować, że są zachwyceni krajobrazem. Uśmiechnęłam się. Zauważył to jeden chłopiec z wycieczki. Podszedł do mnie i spytał, czy mówię po francusku. Odpowiedziałam, że znam tylko trochę słówek. Natomiast mogę porozmawiać z nim w języku rosyjskim lub angielskim. Widziałam, że ucieszył się, znał angielski. Umówiłam się z nim na następny dzień, obiecałam, że opowiem mu historię tego miasta i zwiedzimy razem zabytki.

I tak się stało. Wycieczka przebywała tydzień. Później mieli całą grupą jechać do Krakowa i Oświęcimia. Mój kolega André był miły. Przez kilka dni okazał mi wiele współczucia. Kiedyś opowiedziałam mu swoją historię choroby. Pamiętam wtedy, że powiedział:

„Nawet, gdy chce ci się płakać, śmiej się. Nie myśl, że jesteś chora, pomyśl, że wyzdrowiejesz". Muszę się przyznać, że te słowa wywarły na mnie duże wrażenie. Jakoś nikt dotąd nie potrafił mnie pocieszyć i przetłumaczyć, że wszystko trzeba przyjmować ze spokojem.

Od tej pory inaczej spojrzałam na świat. Zaczęłam się uśmiechać. Jestem bardzo wdzięczna temu chłopcu za słowa otuchy. Myślałam, że przyjdą chłodne, słotne dni i będzie znowu tak jak dawniej, tak ciężko. A jednak wszystko się odmieniło.

Gdy przyjechałam do Warszawy, lekarze orzekli, że wszystko jest prawie w porządku. Byłam taka szczęśliwa, że chciałam śpiewać z radości. Myślę, że nie tylko słońce wpłynęło na poprawę zdrowia, ale również mój uśmiech.

Chodzę do szkoły. Jestem wesoła tak samo jak moi rówieśnicy. A przedwczoraj dostałam piękną kartę od André. A na niej takie słowa:

„Uśmiech łagodzi smutek — pamiętaj, uśmiechem zawsze zwyciężysz".

ELŻBIETA Z WARSZAWY

Na wszystko jest sposób

OSTRY DYŻUR

„ŚWIATA MŁODYCH"

„Jestem w siódmej klasie. Niekiedy koledzy śmieją się ze mnie, bo jestem nieśmiały. Choćbym najlepiej nauczył się lekcji, zapominam wszystko, gdy muszę wystąpić przed całą klasą, pocą mi się ręce, kiedy mam się przywitać z Aliną, koleżanką, którą bardzo lubię, a na zabawie szkolnej stoję pod ścianą, albo siedzę i słucham muzyki, bo nie umiem i chyba nie potrafię nauczyć się tańczyć. Czy nieśmiałość to choroba? Jeżeli tak, to jak ją należy leczyć? Czy w ogóle można z tym sobie poradzić?"

Tak pisze Mietek Kamiński z Wrocławia.

Do najbardziej nieśmiałych na świecie osób należała nasza znakomita uczona, laureatka Nagrody Nobla, Maria Skłodowska-Curie. Każde wystąpienie publiczne napawało ją lękiem, a owacje na jej cześć — zażenowaniem. Kiedy jednak było trzeba, potrafiła przezwyciężyć szczególną wrażliwość i nieśmiałość. Opisała to pięknie jej córka Ewa Curie w książce „Marią Curie" (wyd. PWN 1958). Polecam Ci tę książkę, którą na pewno znajdziesz w bibliotece szkolnej lub publicznej.

Do ludzi najczęściej występujących publicznie należą aktorzy. Nie ma takiego, nawet najwybitniejszego aktora, który przed wyjściem na scenę nie przeżywałby szczególnego leku połączonego z nieśmiałością, który nazywamy tremą. A przecież osiągają oni ogromne sukcesy, które świadczą o tym, jak bardzo potrzebna byłaś i jak się przydała krótka walka przed występem i poprzedzający ją trening.

Foto: W. Hudon

TOBIE TEŻ POTRZEBNY JEST TRENING. PRZYSTĄP WIĘC DO NIEGO NATYCHMIAST!

1. Kiedy nauczysz się tego, co zadane, staraj się opowiedzieć to komuś bliskiemu (przyjacielowi) i poproś o uwagi.

2. Zanim zaczniesz odpowiadać przy tablicy, — zamknij na chwilę oczy, wyobraź sobie, iż nikt na Ciebie nie patrzy i jak najmocniej myśl o tym, co masz mówić, a nie **do kogo**. Nie myśl wtedy ani o nauczycielu, ani o słuchających Cię kolegach.

3. Nie myśl o niepowodzeniu, ale jeżeli doznasz porażki albo wypadniesz gorzej niż inni, potraktuj sprawę sportowo. Wiesz przecież, że przy starciu mistrza bokserskiego z zawodnikiem średniej klasy porażka dla tego drugiego jest nieuniknione. A przecież jakże często są starcia mistrzów z początkującymi sportowcami i jakże często uczniowie przerastają potem mistrzów! Pamiętaj o tym, że **chwilowa porażka nie jest ujmą**, jeżeli zrobisz wszystko, żeby sprostać trudnemu zadaniu. Jeszcze raz powtarzam: potraktuj swoją porażkę jako trening, a wiesz przecież, że każdy trening wzbogaca zawodnika o nowe doświadczenie i sprawność. A to jest wartość, która z całą pewnością będzie procentować i której Ci nikt nie odbierze.

4. Podejmij się na ochotnika pełnienia jakiejś funkcji organizacyjnej w samorządzie klasowym, kółku zainteresowań albo w zastępie harcerskim. Nie musi to być na początek funkcja trudna. Przekonasz się jednak, że zadania, których się podejmiesz, i konieczność ich wykonania w określonym terminie — same Cię zmobilizują do przezwyciężenia nieśmiałości.

5. Jeżeli zbraknie Ci odwagi na pełnienie samodzielnej funkcji, postaraj się być czyimś zastępcą i pomagaj mu jak potrafisz, nawet jeżeli sam się uważasz za przysłowiowe „zero". Posłuż się przy tym prostą zależnością matematyczną: Jeżeli Twój kolega lub koleżanka stanowią wartość np. 1, a Ty — tylko zero, to dołączenie zera do jedynki pomnaża wspólną wartość dziesięciokrotnie, bo to przecież już ani jedynka, ani zero — tylko dziesiątka.

6. Nie zważaj na krzykaczy, którzy zawsze mają coś niby do powiedzenia albo coś do skrytykowania, ale sami w rzeczywistości niczego nie potrafią powiedzieć. Na pewno masz jakieś „hobby". Staraj się zdobyć jak najwięcej wiadomości na ten temat i — kiedy się zacznie między kolegami „głupia gadka" — zaproponuj im, że masz coś ciekawego do powiedzenia. Na pewno niektórzy będą Cię słuchali z zainteresowaniem. Będziesz dla nich wyrocznią i uzyskasz uznanie, choćby Twoim „hobby" było tylko zbieranie guzików od płaszczy wojskowych.

7. Jeżeli zajdzie potrzeba przemawiania do większego grona, możesz pomóc sobie albo przez wypisanie na kartce w punktach tego, co masz mówić, albo po prostu nauczenie się na pamięć własnego wystąpienia. Przekonasz się, jak szybko nabierzesz wprawy i śmiałości w bezpośrednim „improwizowanym" wypowiadaniu własnych myśli.

8. Nauka tańca dla każdego nieśmiałego jest trudna. Ale przecież Ty na pewno masz w rodzinie albo wśród znajomych koleżanek umiejącą tańczyć życzliwą Ci osobę. Poproś ją, żeby w tajemnicy przed niepożądanymi widzami zaczęła Cię uczyć najprostszych tańców. To nie jest wcale trudne. Trzeba tylko raz zacząć. Zanim zatańczysz na zabawie, możesz sprawdzić swoje ruchy przed lustrem. A na zabawie, kiedy już będziesz miał jaką-taką pewność tanecznego kroku, umów się z góry z jakąś koleżanką, żeby kilka razy z Tobą zatańczyła. Staraj się przy tym dobrać sobie partnerkę mniej-więcej równą Ci wzrostem. Nie zapomnij odprowadzić jej na miejsce, ukłonić się i podziękować. Na pewno zaimponujesz tym wielu „gburom".

NIEŚMIALI — głowa do góry

DROGI MIETKU!

NIEŚMIAŁOŚĆ jest cechą wielu ludzi wrażliwych i nie jest to wcale źle, że jesteś wrażliwy. Ludzie niewrażliwi — to przeważnie egoiści. Są nieczuli na piękno przyrody czy wielkich dzieł sztuki, które niekiedy jest tak wzruszające, że po prostu człowieka onieśmiela. Człowiek wrażliwy chyli przed nim głowę, a człowiek obojętny nawet go nie zauważa — jego pozorna śmiałość i „wyższość" jest po prostu tępotą.

Człowiekiem nieśmiałym był np. jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich — Bolesław Prus. Cierpiał nawet na tzw. „lęk przestrzeni". Chodził tylko pod ścianami domów i bał się sam przechodzić przez

Pamiętaj, Drogi Mietku, że nieśmiałość nie jest ani chorobą, ani ułomnością. Jest naturalnym stanem każdego wrażliwego człowieka. Trzeba tylko w porę i stopniowo się jej przeciwstawić i nie wyolbrzymiać jej we własnych wyobrażeniach. Radzę Ci przeczytać książkę Mikołaja Kozakiewiczą: „Halo, Młody przyjacielu". Szukaj jej w księgarni albo w bibliotece.

JÓZEF DEREWIEŃSKI

SPORTOWE PRZYGODY DZIADKA RAMESZA

Ciąg dalszy ze str. 1

— Trzy kilometry! Zawody będą w pułku, więc ćwiczymy.

— To ja potrenuję z wami.

Bo ja tak zawsze. Jak tylko zobaczę jakichś sportowców — to za nimi. Idą na stadion — ja za nimi. Zaczynają trenować — to ja z nimi. Lubię być między ludźmi. Samotnie biegam tylko najdłuższe dystanse — na przykład maraton. Ponad 42 kilometry! Dokładnie 42 kilometry i 162 metry. Prawdę mówiąc, jestem zmuszony do samotności. Nie ma chętnych do treningu. Ludzie przerażają się tym dystansem... Może pan redaktor zna kogoś w moim wieku w Polsce?... Ja bym takiego zaprosił do wspólnego treningu...

Ile mam dokładnie lat? No... sześćdziesiąt! Wstyd się trochę przyznać... Szkoda, że pan redaktor nie zna takiego kogoś. Ale na czym to ja skończyłem? Aha! aha...

— Dziadek chce trenować z nami?...

O, Boże, żeby pan redaktor zobaczył miny tych żołnierzy. Potem ryknęli śmiechem, jak jeden mąż! „Och, wy, tacy — siacy" — myślę sobie...

— Ja się z wami założę! — wykrzyknąłem. — Jak chcecie, to z każdym po kolei, że was na tym stadionie wykołuję wszystkich, co do jednego, nie wyłączając pana kaprala!

Jak to powiedziałem, to się przeraziłem. Och, Ramesz, poniosło cię. Chłopaki silne jak lwy, przystojne, długonogie, a ty co? Sześćdziesiątka na karku! Och, Ramesz, Ramesz... Słowo jednak się rzekło.

Ja nie wiem, no, nie wiem: co sobie może myśleć sławny zawodnik przed ważnym biegiem. Na przykład na olimpiadzie. Ale wydaje mi się, że taki as myśli o jednym: o zwycięstwie. I jak biegnie, to chyba sobie powtarza w kółko słysząc wiwaty i oklaski — zwyciężę, zwyciężę... Jakże on musi być szczęśliwy, gdy rzeczywiście pierwszy przerwie taśmę — a jak wielka musi być gorycz porażki.

— Ja, panie redaktorze, zwyciężyłem w tym biegu! To był dla mnie wielki bieg — prestiżowy — ja stary człowiek, z sześcioma dziesiątkami lat na karku — i oni: dwudziestolatki. Potem, po biegu, już się ze mnie nie śmiali. Było im raczej wstyd. Unikali mojego wzroku, gdy spocony wkładałem spodnie i koszulę, i kiedy chowałem do kieszeni swoje pantofle sportowe. Ale równocześnie widziałem na twarzach żołnierzy ogromne zaciekawienie. Wiedziałem, że w myślach próbują sobie mnie przypomnieć. Kto to jest ten facet, który ich pobił na bieżni? Jakiś Zatopek sprzed lat, czy co?... Gdy się już z nimi żegnałem, jeden zagaił:

— Pan to musiał być mistrzem długich dystansów...

Machnąłem ręką.

Jestem Mila Ramesz. Mieszkam w Citowie. Taka wioska, nawet niedaleko waszego Turnowa. Jak chcecie, to kiedyś wpadnijcie. Potrenujemy razem. A biegam dla własnej przyjemności... Do rekordów zawsze brakowało mi czasu.

Pan Mila Ramesz (w środku, w białej czapeczce, z numerem startowym 102) przed jednym z biegów maratońskich w Pradze, organizowanym w roku 1967. Dziadek zajął w tym biegu środkowe miejsce z czasem 4 godzin.

DWA DYPLOMY

SPOGLĄDAM NA PANA RAMESZA, któremu stuknęła sześćdziesiątka, a który mimo tego wieku przynajmniej raz w tygodniu przebiega trasę maratonu, którą sobie sam wytyczył, przez ścieżki swojej wsi, przez pola i lasy, pagórki i doliny. Opowiadano mi, że kiedy sławny Emil Zatopek był jeszcze w pełni sił i kiedy chciał uzyskać szczyt formy — na przykład przed mistrzostwami Europy albo olimpiadami — to zjawiał się wtedy u starego Rameszа. Przyjeżdżał z Pragi do Citowa i trenował sobie z dziadkiem na trasie maratonu. Wtedy pan Ramesz nie mógł mu dotrzymać kroku na całej trasie, ale dziś... kto wie, czy sławny olimpijczyk wytrzymałby bieg z dziadkiem.

Jest już ciemno — na dworze szaleje śnieżyca. Siedzę w izdebce dziadka Ramesza i podziwiam dziesiątki jego dyplomów, medali, pucharów, które zdobył startując na wszelkiego typu zawodach sportowych, organizowanych dla entuzjastów sportu. Oto dyplomy z masowych biegów przełajowych, z imprez organizowanych z okazji różnych świąt, uroczystości, rocznic... Odczytuję z tych dyplomów wyniki dziadka, uzyskane w roku 1967. Bieg na 100 metrów — czas 13,8 sek. Bieg na 300 metrów — 51,4 sek. Bieg na 1 kilometr — 3 minuty 34 sekundy. Moim zdaniem, są to świetne wyniki — ja nawet w swojej szczytowej formie sportowej, na studiach w Warszawie, nie uzyskiwałem takich czasów.

Ale oto dziadek pokazuje mi swój pierwszy dyplom sportowy:

— To jest dyplom z roku 1932 — mówi. — Byłem wtedy o 35 lat młodszy i służyłem w wojsku. W jednostce organizowano bieg na 3 kilometry. Zgłosiłem się i wygrałem. Niech pan odczyta mój czas:

— 12 minut i 43 sekundy!

— A teraz niech pan redaktor zobaczy ten dyplom.

Biorę do ręki kolorowy, ozdobny arkusz papieru: jest to dyplom uzyskany za pierwsze miejsce na tym samym dystansie, ale w roku 1967 w lecie.

— Jaki tam wypisano czas? — pyta dziadek...

Przecieram oczy. Nie chcę uwierzyć. Czas dziadka jest lepszy o... 8 sekund!

Dziadek zauważył moje zdumienie i wyraźnie się ucieszył.

— Prawdę mówiąc, to dziś czuję się lepiej, niż wtedy. Nic mi nie dolega, nie wiem, co to choroba. Lekarze są często zdumieni, badając moje serce. „Pan jest młodzieniaszkiem — mówią mi komplementy. — Pożyje pan do 100 lat".

— A pewnie, pewnie — odpowiadam im. A czasem jeszcze dodaję: i będę jeszcze startował! Wtedy to ja będę miał dużo wolnego czasu.

BIEGIEM DO PRACY

WIĘC DZIADEK wciąż pracuje!

— Remontuję dachy i kominy, oraz zakładam piorunochrony. Tę pracę wykonywał mój ojciec, dziadek i ojciec dziadka... Mógłbym panu wyliczyć obiekty historyczne w całej Czechosłowacji — katedry, kościoły, zamki — które stawiali Rameszowie... To znaczy budowali na tych obiektach dachy i kopuły. Jak mogłem nie być wierny rodzinnej tradycji?

Przed dwoma tygodniami zakończyłem remont pięknej kopuły na wieży zamkowej w Mielniku. Pracowałem z moją uczennicą — Anną Gritzakową. Dziewczyna ma smykałkę do tej pracy, lubi chodzić po dachach. Na najwyższym kominie czuje się jak na ziemi. Wkrótce będzie zdawać egzamin czeladniczy i myślę, że zda. Rozpoczynam też remont komina fabrycznego w Kostelecu. To stary, fabryczny komin, 80 metrów wysoki. Na samym szczycie trzeba wymienić kilkadziesiąt zmurszałych cegieł i założyć nowy piorunochron. Będzie moc pracy, ale wyremontujemy wszystko w terminie. Anna będzie mi pomagała, bo moi synowie pracują w tej chwili na innych budowach.

...Synowie ze mną nie mieszkają. Są już dorośli, założyli rodziny i przebywają w Mielniku. Ja teraz też pracuję w Mielniku, w spółdzielni, która właśnie zakłada piorunochrony i buduje kopuły. Z Citowa do Mielnika jest 10 kilometrów. Codziennie przebywam tę trasę biegiem albo na rowerze. Nigdy nie korzystam z autobusu. Zresztą, jak wsiądę na moją wyścigówkę, to pędzę szybciej od samochodu. Szkoda, że człowiek jest już taki stary.

Do kadry na Wyścig Pokoju nie chcą mnie wziąć z powodu tej mojej metryki, a wyścigów

Dziadek Ramesz (w hełmie) z lewej zwycięża w wyścigu rowerowym i odbiera gratulacje od zawodnika, który zajął drugie miejsce. Wicemistrz był młodszy od zwycięzcy o... 40 lat.

Tekst
ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Foto
Archiwum

dla dziadków jeszcze nikt nie wymyślił. A co ja bym dał za to, aby jakiś działacz sportowy zaproponował wyścig kolarski Praga—Warszawa, ale dla seniorów powyżej... pięćdziesiątki. Ile to się człowiek musi naprosić, żeby go wstawili do jakiegoś poważnego wyścigu. Ale ja jestem uparty.

Wyczytam w gazecie, że w niedzielę, tam a tam, jest organizowany wyścig na rowerach. Wtedy jadę do tej miejscowości się zameldować. Nie znają mnie tam. Wypytują — a skąd a po co, wreszcie każą mi pokazać dowód osobisty.

— O rany, dziadku — mówią wtedy. — Nie zmęczy się dziadek? Dziadek i dziadek. Dopiero gdy pierwszy wpadam na metę, to jest sensacja.

Do dziś wspominam wyścig rowerowy w Żabcu. To niedaleko Pragi. Startowały same kobiety z mistrzynią naszego kraju, Kolerową. Dystans — coś około 20 km.

— Myślę sobie, warto spróbować. Cóż z tego, że jest to wyścig kobiet.

Pojechałem. Sędziowie w śmiech. Kobiety i jeden dziadek. Nie chcieli mnie puścić, ale panie się za mną ujęły.

— Niech startuje! — uparły się. — Nam to nie przeszkadza.

Wystartowałem. Dla mnie nie jest ważne, z kim startuję, ale że w ogóle startuję. I muszę panu powiedzieć, że się w tym biegu strasznie namęczyłem. Kobiety narzuciły takie tempo, że ledwo, ledwo trzymałem się czołówki. Na metę wpadłem na szóstym miejscu. Nigdy takiego miejsca nie zajmowałem.

SYLWESTROWY BIEG ULICAMI PRAGI

TERAZ przygotowuję się do Biegu Sylwestrowego w Pradze. To piękny bieg ulicami miasta. Startują czołowi zawodnicy kraju i ja z nimi. Tak jest od lat. W Pradze wszyscy kibice mnie znają. Nigdy nie jestem na końcu, ale zawsze w czołówce.

W szkole, w moim Citowie, urządzam zawody dla uczniów: biegi i wyścigi rowerowe. Niedawno zorganizowałem chłopakom wyścig na rowerach. Dałem im 2 minuty przewagi i... za nimi! Wygrałem, ale ciężko było.

W Mielniku chcę założyć Klub Emerytów. Będę trenerem. Chętnych jest sporo. Bo sport dla nas, ludzi starszych, to zdrowie i siła. Niektórzy tego jeszcze nie mogą zrozumieć i śmieją się ze mnie: „Odpoczywałby sobie dziadek — mówią — leżał, spał, a dziadkowi chce się maratonu".

Niby racja, ale ja po maratonie jestem zdrowszy i silniejszy. Dziwny ze mnie dziadek, co?...

GORĄCZKA ZŁOTA

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ pewnego lipcowego dnia 1967 roku, kiedy to gazety brytyjskie doniosły o niebywałym szczęściu pewnego nurka, który, prowadząc poszukiwania starego wraku u Wybrzeży Kornwalii, natrafił na skrzynię pełną srebrnych i złotych monet. Rzecz oczywista, nurek wydobył skrzynię na powierzchnię i dziś jest bardzo bogatym człowiekiem.

Nie upłynęło kilkanaście dni, a dzienniki znowu poinformowały swoich czytelników o sensacyjnym odkryciu na dnie morza! Otóż trzej nurkowie: Roland Morris, Douglas Rowe i John Upton, zanurzając się w głębiny wodne w pobliżu granitowych wysepek Scilly (na południowy zachód od wybrzeży Kornwalii), zauważyli nagle w podwodnej skale niewielkie wgłębienie. Pierwszy do otworu zajrzał Upton i... stało się! Został odkryty nowy skarb! Złote i srebrne przedmioty, złote pieniądze sprzed wieków leżały w otworze jak bezwartościowy złom. Rozpoczęło się wydobywanie skarbu, które trwa zresztą po dzień dzisiejszy. Przypuszcza się, że złote i srebrne przedmioty oraz monety należały niegdyś do piratów, którzy na wysepce mieli swój skarbiec. Marny musiał być jednak ich los. Fale morskie żłobiły w granitowej wysepce głębokie bruzdy. W końcu... wypłukały skarb. Przypadek zrządził, że złoto zostało odkryte. Nurkowie twierdzą zresztą, że natrafili tylko na drobną część pirackiego skarbu. Inne przedmioty muszą jeszcze tkwić wokół skalistej wysepki i być może inni nurkowie również będą mieć szczęście...

Wartość dotychczas wydobytych przez trzech nurków skarbów jest bardzo znaczna. Musi jednak minąć rok, a wtedy wszystkie przedmioty będą mogły być oszacowane. W Anglii istnieje bowiem prawo, które mówi, iż znalezione przedmioty mogą być przez znalazcę sprzedane po upływie jednego roku i tylko wtedy, jeśli nie znajdzie się prawowity ich właściciel. Wątpić należy, iż żyje w Anglii ktoś mający pretensje do tego morskiego znaleziska. Panowie nurkowie staną się więc również bardzo bogaci.

Wiadomości o niecodziennych skarbach rozpaliły umysły młodych ludzi. Tym bardziej, iż niedawno w jednej z popołudniowych gazet ukazał się naukowy artykuł informujący szeroką opinię publiczną, iż w pobliżu granitowych wysepek Scilly wydarzyła się w roku 1707 wielka tragedia morska. W tym to roku powracała do Anglii z wielkiej wyprawy śródziemnomorskiej flota admirała Shovella. Okręty były wyładowane po brzegi najprzeróżniejszym bogactwem zdobytym na Turkach, Hiszpanach, Arabach i nie niedaleko wybrzeży Anglii, kiedy okręty znajdowały się właśnie w pobliżu wysepek Scilly, zerwał się nagle straszliwy huragan. Flota poszła w rozsypkę, a wiele okrętów wpadło na skały wysepek i roztrzaskało się. Ponoć tylko nielicznym okrętom udało się dobić do brzegów Anglii. Wraki tych statków wraz z całymi skarbami muszą więc spoczywać na dnie. I to właśnie w okolicach granitowych wysepek.

Cóż — młodzi ludzie i nie tylko zresztą młodzi — mają wyobraźnię. Znaleźć na dnie morskim taki... złoty okręt!... Więc młodzi ludzie wykupują w sklepach sprzęt do nurkowania, zaopatrują się w łodzie i motorówki i gdy tylko mają wolny dzień, zdążają ku brzegom Kornwalii, aby nurkować i szukać skarbów, ale szczęście dopisuje tylko nielicznym.

Najbardziej z tej... gorączki złota zadowoleni są mieszkańcy zachodnio-południowej Anglii. Przewidują oni, że bieżący sezon turystyczny będzie dla nich bardzo atrakcyjny. Już teraz hotele przyjmują zapisy na sezon wiosenno-letni. Bo któż nie chciałby znaleźć na dnie morza zatopionego wraku okrętu wypełnionego złotem i srebrem.

Z.P.

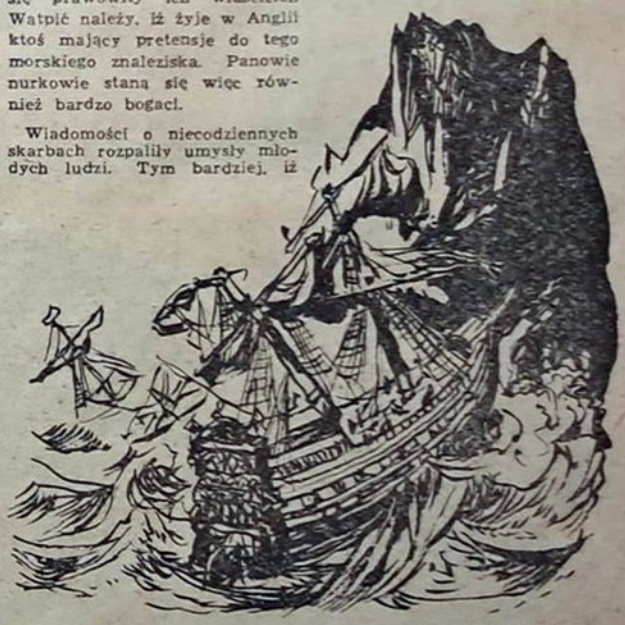

Rys. M. Kościelniak

NIE KAŻDY KIBIC WIE...

Pakistańczyk BROJAN DASA, w r. 1960 przepłynął kanał La Manche w czasie 10 godzin i 35 minut. Rekord ten do dziś nie został przez nikogo pobity.

MARIA GOITSCHEL, doskonała narciarka francuska, za zdobycie I miejsca w slalomie, podczas zawodów w Alpach francuskich, otrzymała w nagrodę... krowę!

Norweżka, SONIA HENIE, począwszy od roku 1927 była przez 10 lat mistrzynią świata w jeździe figurowej na łodzie. Pierwszy raz wystartowała mając lat 12.

FONTAINE JUST, piłkarz francuski, jest absolutnym rekordzistą Pucharu Rimeta: w r. 1958 strzelił w Szwecji 13 bramek.

KARL KAUFMANN, były rekordzista świata w biegu na 400 m, występuje aktualnie jako tenor w operetce.

WŁODZIMIERZ LENIN należał do wielkich amatorów kolarstwa i turystyki górskiej. Podczas pobytu w Paryżu wyjeżdżał często na peryferie tego olbrzymiego miasta. W Tatrach bardzo popularny jest szlak turystyczny wyznaczony trasami jego częstych wycieczek.

RALPH MILLER jest posiadaczem nie pokonanego dotąd rekordu w zjeździe na nartach. Na trasie w Andach osiągnął szybkość 176 km/godz.

Norweg, NORDHEIM jest autorem pierwszego rekordu długości w skoku na nartach. Rekord uzyskany w r. 1868 wynosił 19 m.

KAROL OLSZEWSKI, znakomity polski chemik, należał do jednych z pierwszych kolarzy w Polsce.

Anglik G. POWELL w roku 1700 założył się z księciem Malborough, że prześcignie konia na trasie Windsor-Londyn. Powell zakład wygrał, ale, dobiegłszy do mety, padł martwy.

OSKAR SWAHN na olimpiadzie w Antwerpii w roku 1920 zdobył dla Szwecji srebrny medal w strzelaniu. Miał wtedy 72 lata!

ROMAN KARCZMARCZUK
Wrocław

JEROME KLAPKA JEROME i labirynt w Hampton Court

PRZYGOTOWALISMY dla was coś specjalnego. Będzie to **absolutnie prawdziwy opis błądzenia w absolutnie prawdziwym labiryncie!** Opis ten pochodzi ze znakomitej i niesłychanie śmiesznej książki angielskiego autora o dziwacznym nazwisku: Hieronim Klapka Hieronim (w tytule napisaliśmy to w wersji angielskiej). Książka ta została dwukrotnie wydana w Polsce przez Wydawnictwo „Iskry" i radzimy wam przeczytać ją w całości.

Autor był człowiekiem niezwykłym, imał się wielu zawodów: pracował jako urzędnik kolejowy, dziennikarz, agent handlowy, aktor. O tym ostatnim zawodzie wspomina na swoich pamiętnikach, że np. w „Hamlecie" Szekspira grał wszystkie role, po kolei z wyjątkiem roli... Ofelii. Przez dwadzieścia lat wydawał też humorystyczne pisemko pt. „Próżniak", ale to mu nie przeszkodziło w roku 1917 podczas I wojny światowej zgłosić się ochotniczo do wojska. Został szoferem frontowej sanitarki mając lat blisko sześćdziesiąt!

Pisał też książki i sztuki teatralne. Było tego wiele, ale jedna książka pobiła wszystkie rekordy i jest wznawiana do dziś. To **„Trzech panów w łódce (nie licząc psa)"**

Właśnie z tej książki pochodzi opis błądzenia po labiryncie, którego autentyczny plan widzicie obok

*

„— Harris zapytał mnie, czy byłem kiedy w labiryncie Hampton Court. On sam wszedł tam raz, by kogoś oprowadzić. Przestudiował plan labiryntu — rzecz to była najprostsza pod słońcem, po prostu dziecinna igraszka nie warta dwóch pensów, jakie pobierano za wejście do środka. Doszedł do wniosku, że plan sporządzono tylko w celu nabierania gości, bo jego wartość równała się zeru i było to zwyczajne zawracanie głowy. Osobą, którą Harris zabrał do labiryntu, był jego kuzyn z prowincji.

— Wdepniemy tam na chwilkę — mówił Harris do krewniaka — byś mógł mówić, że byłeś w hamptońskim labiryncie, ale nic tam nie ma. Trzeba mieć źle w głowie, żeby to nazywać labiryntem. Cała sztuka w tym, żeby stale skręcać w pierwszy chodnik na prawo. Zrobimy sobie mały spacer w kółko — po dziesięciu minutach wyjdziemy i zjemy drugie śniadanie.

W chwilę po wejściu do środka Harris z kuzynem spotkali parę osób, które im powiedziały, że są tutaj od trzech kwadransów i że labirynt dał im się we znaki. Harris odparł, że jeśli chcą, to mogą wszyscy iść za nim. Właśnie bowiem wybiera się na spacerek, zrobi kółko i wraca. Zbłąkana gromadka przyjęła z wdzięcznością zaproszenie Harrisa i ustawiła się za nim. Ruszyli razem.

Po drodze zbierali zwiedzających, którzy szukali wyjścia, i pomału zgromadzili za sobą wszystkich ludzi z labiryntu. Ci, którzy porzucili już nadzieję, że dostaną się do środka lub że wyjdą kiedyś i zobaczą swój dom rodzinny i przyjaciół, nabierali otuchy na widok Harrisa i jego świty, przyłączali się do orszaku i błogosławili swemu przywódcy. Harris zapewniał potem, że w ślad za nim kroczyło co najmniej dwadzieścia osób. Jakaś kobiecina z dzieckiem na ręku, która błądziła tu od samego rana, uczepiła się ramienia Harrisa, drżąc na myśl, że mogłaby go stracić z oczu.

Harris wciąż skręcał w prawo, drogi jednak jakoś nie ubywało. Kuzyn zauważył, że labirynt jest, zdaje się, bardzo duży.

— Ba! Jeden z największych w Europie — odparł Harris.

— Chyba tak — kuzyn na to — bośmy zrobili już dobre dwie mile.

Harrisowi też zaczęło się wydawać podejrzane, ale nic nie mówił. Gdy jednak zobaczyli na ziemi pół ciastka, a kuzyn przysiągł, że widział je przed siedmioma minutami, Harris bąknął: „Och, niemożliwe", na co kobiecina z dzieckiem na ręku powiedziała: „Całkiem możliwe", bo sama wzięła dziecku kawałek ciastka i rzuciła na ziemię tuż przed spotkaniem Harrisa. Dodała też, że wolałaby nigdy go nie spotkać i że go uważa za zwykłego oszusta. Harris strasznie się rozgniewał. Rozłożył plan i objaśnił im, na czym polega jego system.

— Plan bardzo by się przydał — zauważył ktoś z tłumu — gdybyś pan wiedział, gdzie jesteśmy teraz.

Harris tego nie wiedział, odparł więc, że najlepiej będzie, jeśli powrócą do wejścia i zaczną na nowo. Myśl, żeby zacząć na nowo, nie wzbudziła wielkiego entuzjazmu, natomiast wszyscy się ochoczo zgodzili, że trzeba wrócić do wejścia. Zrobili więc w tył zwrot i znów poszli za Harrisem, w odwrotnym kierunku. Po dziesięciu minutach znaleźli się w samym środku labiryntu.

Harris zrazu miał ochotę wmówić im, że o to właśnie chodziło. Ale tłum przyjął groźną postawę, przewodnik położył to na karb ślepego trafu.

W każdym razie miejsce, w którym się znaleźli, można było przyjąć za punkt wyjścia. Wiedzieli nareszcie, gdzie są, jeszcze raz przestudiowali plan, wszystko wydało im się jasne jak słońce. Po raz trzeci ruszyli w drogę.

W trzy minuty później znów byli w samym środku labiryntu.

Potem już absolutnie nigdzie nie mogli się dostać. W którąkolwiek stronę się zapuścili, zawsze wracali do punktu wyjścia. Kursowali już tak regularnie, że niektórzy zatrzymali się tam i czekali, aż reszta odbędzie spacerek wkoło i wróci do nich. Po jakimś czasie Harris znów wyciągnął swój plan, ale na sam jego widok tłum zaczął się gorączkować. Powiedziano mu, że może tego papieru użyć na papiloty i zrobić sobie baranka na głowie. Harris mówił potem, że, niestety, odniósł wówczas nieodparte wrażenie, iż stał się niepopularny.

W końcu wszyscy dostali kręćka i nieprzytomnymi głosami wołali dozorcę labiryntu. Nadbiegł, wlazł na drabinę za ścianą i wykrzykiwał, co mają robić. Ale tak im się strasznie pomieszało w głowach, że już nic nie mogli zrozumieć. Dozorca więc kazał im zaczekać na miejscu i obiecał, że sam do nich przyjdzie. Zbili się w wystraszoną gromadkę i czekali. Dozorca zlazł z drabiny i wszedł do labiryntu.

Nieszczęście chciało, że był to młody dozorca, który od niedawna tu pracował. Wszedł, ale nie mógł ich znaleźć i rychło sam zabłądził. Co chwila ukazywał się w oddali — widać było, jak idzie po drugiej stronie żywopłotu. Ujrzawszy ich, szybkim krokiem zmierzał ku nim, czekali więc przez pięć minut, aby znowu ujrzeć go dokładnie w tym samym miejscu, co przedtem. Pytał się wówczas, gdzie się podziali.

Wyszli dopiero wtedy, gdy jeden ze starych dozorców wrócił z obiadu.

Harris zapewniał mnie teraz, że to przepiękny labirynt i że nieźle go poznał."

Taki właśnie labirynt znajduje się do dzisiejszego dnia w angielskim miasteczku Hampton, 15 kilometrów od Londynu. Miejscowość ta to stara siedziba królów angielskich. Tutaj w XVII wieku król Wilhelm III kazał ... posadzić labirynt. Posadzić, ponieważ jest on wykonany z bardzo gęstego i wysokiego żywopłotu!

Tłumaczył:
KAZIMIERZ PIOTROWSKI

Foko, foko — tu głęboko...

— Foko, foko, otwórz oko,
w tej przerębli jest głęboko...
— Ponurkujmy w zimnej głębi...
Fokom trudno się zaziębić...
— Ale łyżwiarz, proszę foki,
niech przerębli mija z dala,
bo tam może się utopić,
czego foka nie pochwala.

WACŁAW BISKO

Nad Wisłą odkryto kopalnię sprzed wieków

POLSKIE ODKRYCIA I WYNALAZKI

W ŚWIECIECHOWIE nad Wisłą (pow. Krasnik) znajdują się bardzo bogate złoża krzemienia. Nic w tym nie byłoby szczególnego, gdyby nie odkrycie mgra Bogdana Balcera z Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Okazało się, że na przestrzeni tee hektarów znajdują się ślady istniejącego tu w starożytności wielkiego ośrodka przemysłowego. Nasi praprzodkowie wydobywali w Świeciechowie krzemień w ciągu kilkunastu tysięcy lat — od środkowego paleolitu do epoki brązu. Na terenie dawnej kopalni znajdują się liczne wgłębienia — pozostałości po prymitywnym wydobywaniu krzemienia. Znaleziono też różnego rodzaju odpadki produkcyjne, pozostałości po wyrobie siekierek oraz szczątki innych narzędzi krzemiennych.

Odkryta kopalnia była w okresie neolitu ogromnym ośrodkiem przemysłowym. Wyroby z świeciechowskiego krzemienia znajduje się w wykopaliskach na terenie Mazowsza, Wielkopolski, Pomorza a nawet w Słowacji, Rumunii i na Węgrzech.

Elektryczne połowy

NAUKOWCY Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie wynaleźli bardzo ciekawy sposób łowienia ryb, za pomocą tzw. elektrycznego niewodu (rodzaj sieci). Niewód przypomina ogromny, stożkowaty worek 30-metrowej długości i 10-metrowej średnicy wlotu. Co ciekawsze, okazuje się, że chcąc zwiększyć połowy, trzeba budować różne rodzaje sieci, dla każdego gatunku inne. Pierwszy elektryczny niewód, pomysłu dra Wiktora Dembińskiego, przeznaczony jest do połowu węgorzy. Pierwsze doświadczalne „łowy" były rewelacyjne — na godzinę łapano 22 kg tej cennej ryby.

W tym samym Instytucie skonstruowano również urządzenie zwane elektrogonem, czyli coś w rodzaju elektrycznego „naganiacza". „Naganiacz" służy do napędzania ryb w specjalnie ustawione pułapki sieciowe.

Obserwatorium na strychu

Na zdjęciu: grupka entuzjastów astronomii w obserwatorium pana Adama Giedrysa. Foto: CAF

SZCZECINEK — małe miasteczko w woj. koszalińskim — może się poszczycić posiadaniem obserwatorium astronomicznego. Zbudowane jest na strychu jednego ze starych domów rękami pana Adama Giedrysa, z zawodu krawca, a z zamiłowania — astronoma. Mimo że obserwatorium stworzone zostało niemal z niczego, od kilku lat znane jest nawet za granicą. Pan Giedrys przestudiował dziesiątki dzieł astronomicznych, prowadzi również korespondencje z ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą. Jego obserwacje nieba — prowadzone za pomocą wcale nie małego teleskopu (patrz foto) — mają charakter poważnych badań. Otrzymał nawet podziękowanie od radzieckiej Akademii Nauk za cykl obserwacji tras przelotów sputników. Pan Giedrys uczestniczył również w wielu międzynarodowych konferencjach astronautycznych. Zainteresowanie obserwatorium wielkiego miłośnika astronomii jest w Szczecinku olbrzymie. Oprócz dorosłych przychodzi do pana Giedrysa 22 uczniów.

Już po raz dziesiąty spotkali się w Genewie płetwonurkowie z wielu krajów świata. W programie przewidziano polowanie z harpunem na ryby, wyprawy do podwodnych grot, nie zapominając nawet o spotkaniu z Mikołajem.
Foto CAF.

UWAGA! KTO CHCE WYLOSOWAĆ MAGNETOFON „TONETTE"!

termin nadsyłania zamówień na śpiewnik harcerski

„Śpiewaj z nami" (zł 35.—)

podany w ogłoszeniu zamieszczonym w nr 103—104 „Świata Młodych" został przedłużony do dnia 25.I.1968 r.

MAGNETOFON „TONETTE"

i nagrody pocieszenia rozlosowane zostaną wśród tych, którzy nadeślą zamówienie na śpiewnik do Wydawnictwa Harcerskiego, Warszawa, ul. Konopnickiej 6.

Zamówienia realizujemy według kolejności zgłoszeń, wysyłając książki za zaliczeniem pocztowym.

Świat Nauki i Fantazji

Jak ogrzać ZIEMIĘ?

RADZIECKI INŻYNIER W. Czerienkow przedstawił bardzo ciekawy i śmiały projekt zaprzęgnięcia energii słonecznej do ogrzewania całej kuli ziemskiej. Proponuje on mianowicie umieszczenie wokół naszej planety ogromnego sztucznego pierścienia z pyłu, który wykorzystywałby ciepło Słońca do ogrzewania Ziemi.

Pierścień taki — złożony z maleńkich, nieprzezroczystych białych cząstek — umieściłyby na orbicie statki kosmiczne. Najmniejsza odległość pierścienia od Ziemi powinna wynosić 1000 km, największa — 10.000 km.

Z im drobniejszych pyłków będzie złożony pierścień, tym większa będzie jego powierzchnia użyteczna. Czerienkow twierdzi, że gdyby cząsteczki miały średnicę 0,00002 milimetra, to złożony z nich pierścień o grubości 100 km mógłby wytwarzać energię cieplną odpowiadającą 270 miliardom kilowatów! Natomiast przy grubości pierścienia wynoszącej 500 km uzyskana energia byłaby pięciokrotnie większa.

Orbita pierścienia — zdaniem projektodawcy — mogłaby być tak dobrana, żeby większość energii cieplnej trafiała na obszary podbiegunowe. Ciepło z pierścienia topiąc lody uczyniłoby z tundry urodzajny rejon, a na obszarach w strefie umiarkowanej umożliwiłoby dwukrotne zbieranie ziemiopłodów w ciągu roku.

Do utworzenia takiego pierścienia potrzebne byłoby około 450 tysięcy ton pyłu, który porcjami wyniosłyby rakiety w przestrzeń kosmiczną. Inni uczeni radzieccy, opracowując stronę techniczną niezwykłego projektu, obliczyli nawet, że jego realizacja byłaby opłacalna. (bor).

Tropami powstańczej przesyłki (3)

Chciałbym wiedzieć, w jakich okolicznościach i kiedy zostały znalezione na Mokotowie listy z harcerskiej poczty polowej. Czytałem o nich w ostatnich numerach „Świata Młodych", ale nie wiem jak to było z ich znalezieniem. Proszę redakcję o odpowiedź.

Mirek Kowalczyk z Warszawy

Pan Giers, znalazca powstańczej przesyłki, przy pracy na linotypie. Uratowane i pieczołowicie przechowane przez niego listy trafiają dziś do adresatów lub nadawców. Opowiadają o prawdziwej historii i dramacie dni sprzed blisko 24 lat.

Foto: W. HUDON

Opowieść WARSZAWSKIEGO DRUKARZA

ODPOWIEDZI NA PYTANIE MIRKA udzielił pan Stanisław Giers, stary warszawski drukarz — linotypista, pracujący od wielu lat w drukarni, w której drukuje się również „Świat Młodych". Pan Giers, od dawna związany z warszawskim Mokotowem, przeżył w tej dzielnicy lata okupacji i powstania warszawskiego, w którym brał udział jako żołnierz. W kilka tygodni po wyzwoleniu Warszawy, tutaj właśnie, na jednej z mokotowskich ulic znalazł kilkadziesiąt listów ostemplowanych pieczęciami harcerskiej poczty polowej. A jak to było, posłuchajcie:

— W zimowy ranek 17 stycznia 1945 roku wyszedłem przed dom w Imielinku (gdzie z rodziną zamieszkałem po powstaniu), by jak zwykle popatrzeć tęsknie w stronę pobliskiej Warszawy. Od chwili opuszczenia pod koniec września 1944 roku naszego Mokotowa codziennie z bólem serca śledziłem stąd snujące się nad miastem dymy, słuchałem głuchych detonacji. To Niemcy dokonywali w naszej stolicy barbarzyńskiego dzieła zniszczenia, paląc i burząc ocalałe podczas walk domy, ulice.

Rys. J. Rocki

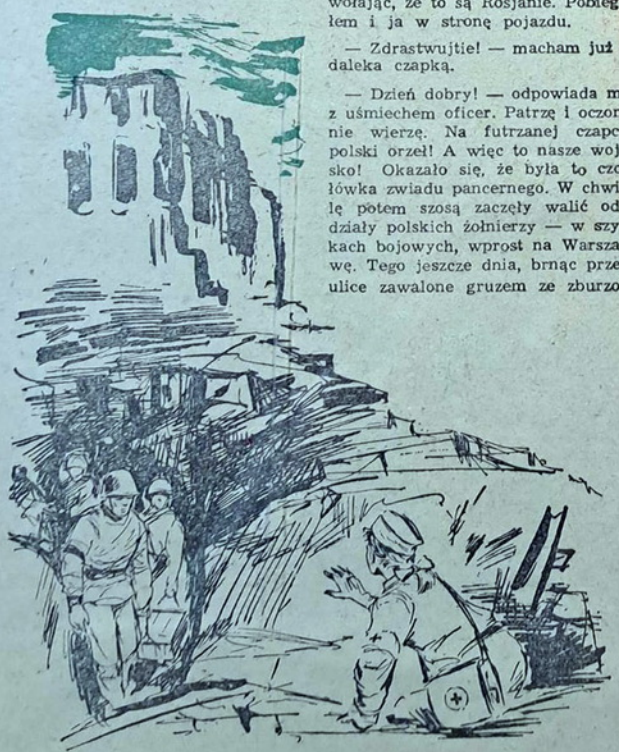

Tego właśnie styczniowego ranka ujrzałem na pobliskiej szosie, tuż przy Wyścigach Konnych, samochód pancerny. Ktoś biegł tam, wołając, że to są Rosjanie. Pobiegłem i ja w stronę pojazdu.

— Zdrastwujtie! — macham już z daleka czapką.

— Dzień dobry! — odpowiada mi z uśmiechem oficer. Patrzę i oczom nie wierzę. Na futrzanej czapce polski orzeł! A więc to nasze wojsko! Okazało się, że była to czołówka zwiadu pancernego. W chwilę potem szosą zaczęły walić oddziały polskich żołnierzy — w szykach bojowych, wprost na Warszawę. Tego jeszcze dnia, brnąc przez ulice zawalone gruzem ze zburzonych domów, znalazłem się w swoim mieszkaniu przy ul. Puławskiej.

Mokotów był wówczas kompletnie wymarły. Nigdzie żywego ducha. Chodziło się wśród gruzów uważając, by nie nastąpić na niewypały pocisków. Z każdym jednak dniem przybywało ludzi — warszawiacy wracali do zrujnowanych domów, by na nowo organizować życie w swoim mieście.

Któregoś dnia moja żona, ranna w czasie powstania w obie nogi, wyszła z domu na pierwszą po zagojeniu ran przechadzkę. Wróciła spłakana. — Co ci się stało? — pytam zaniepokojony.

Okazało się, że kiedy szła ulicą Tyniecką, w nodze odezwał się ból po niedawnej ranie. Siadła wraz ze znajomą na kamieniu, obok rozwalonego domu, by odpocząć. Leżały tam w błocie i resztkach brudnego śniegu kartki zapisanego papieru, koperty z adresami, karty pocztowe. Na wielu z nich były stemple z napisami: — HARCERSKA POCZTA. Zaczęły czytać. I przed oczami stanęły im obrazy tamtych tragicznych dni — losy zagubionych w walczącym mieście ludzi, szukanie bliskich, wieści o spalonych domach, rozstrzelanych przez Niemców mieszkańcach. Na każdej z tych kartek adnotacja: zwrot, dom spalony, teren w ręku nieprzyjaciela, nie ma dojścia...

Jeszcze tego samego dnia pan Giers poszedł na ulicę Tyniecką, znaną mu tak dobrze z powstańczych walk w tym rejonie. Był wówczas podoficerem broni w batalionie „Karpaty". Dysponował całym arsenałem amunicji. Docierał z patrolami do pierwszych linii bojowych, donosząc walczącym chłopcom naboje. Pamięta ciężkie walki o szkołę na Woronicza. I moment, kiedy biegnąc z amunicją płytkim i wąskim przekopem przez ostrzeliwaną ulicę Naruszewicza, tuż przy Tynieckiej, zatrzymany został zdecydowanym okrzykiem: „Stać — dalej nie wolno!" — To wołała ukryta w leju po bombie 14-letnia harcerka — sanitariuszka.

— Zatrzymaliśmy się — opowiada pan Giers — bo przekopem transportowany miał być ranny, na którego czekała z opatrunkami sanitariuszka. W tym wąskim i płytkim rowie dobiegowym nie można było się wyminąć. Bardzo mi wówczas zaimponowała zdecydowana postawa małej harcerki, tkwiącej wśród świstu kul na swym posterunku...

I oto znalazłem się znów na znajomych ulicach. Jakaż była tu przeraźliwa cisza! Dawny rów dobiegowy i „punkt sanitarny" harcerki zasypany śniegiem. Nieco dalej kamień na Tynieckiej, o którym mówiła mi żona. — Są kartki! Tak, oczywiście. To są listy, które w czasie powstania roznosili harcerze. Tutaj w pobliżu mieścił się mokotowski oddział harcerskiej poczty polowej.

Przypuszczam, że w toku ciężkich walk, jakie miały miejsce w tym rejonie, harcerze z oddziału pocztowego musieli nagle opuścić swój punkt. I nie zdążyli zabrać wszystkich listów. A może podczas ewakuacji oddziału pocztowego, któryś z chłopców przenoszących listy na nowy punkt — został trafiony kulą wroga? — nie wiadomo.

Zbierając z ziemi i wśród gruzów mokre i zabłocone listy wiedziałem, że muszą one trafić w odpowiednie ręce — do adresatów lub nadawców. Ale wtedy, tuż po wyzwoleniu stolicy, nie było to możliwe — większość domów rozbitych lub spalonych, nie wszyscy warszawiacy mieli do czego wracać.

— Dziś cieszę się — kończy swą opowieść pan Giers — że wskutek zainteresowania się tymi listami redakcji harcerskich czasopism — „Świata Młodych" i „Drużyny" — trafiają one po 23 latach do rąk adresatów lub nadawców.

Zapisał:
JERZY KASPRZAK

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł. 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Adres redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24.
Zam. 1773. N-52